Wrzesień 2019

MAMMUTHUS MONTANUS

ssp. harnasiensis

245

PODORGAN MAMUTÓW SKPG „HARNASIE"

ŁUK KARPAT

CZYLI WĘDRÓWKA WŚRÓD DOBRYCH LUDZI

Pierwszy raz o przejściu łukiem Karpat usłyszałem jeszcze na studiach, kiedy to podczas jednej z sesji oddawałem się ulubionemu zajęciu wszystkich żaków, czyli zgłębianiu najciemniejszych zakątków Internetu. Jedni znajdują w nich śmieszne memy, inni oglądają koty, a ja zafascynowałem się po raz pierwszy Karpatami Wschodnimi. I tak po nitce do kłębka trafiłem na opis wyprawy Łukasza Supergana. Sesja minęła, ale marzenia zostały…

Po kilku latach, gdy już znalazłem się na kursie przewodnickim, po raz pierwszy odwiedziłem Rumunię i jej góry, które skradły mi serce. Do dziś pamiętam, jak późnym popołudniem odjeżdżaliśmy z Sybina, a blask zachodzącego słońca oświetlał oddalajace się pasma. Musiały minąć dwa lata, bym ponownie stanął na rumuńskiej ziemi, bym tym razem samotnie odkrył piękno Rodnianów. To właśnie po powrocie z tego wyjazdu zrodziła się myśl, aby spróbować. Bo skoro i tak mam zamiar odwiedzić jak najwięcej karpackich pasm, to czemu nie ubrać tego w jedną wyprawę? Nosząc przypięty do piersi Trójkątny Immunitet, poparty zdecydowanie większym doświadczeniem górskim, powoli czułem się gotowy, by podjąć to wyzwanie.

Tymczasem pojawiła się kolejna praca, ale znajomi wiedzieli, że nie wytrzymam długo w jednym miejscu. Po pół roku przyszło znudzenie, a długie rozmowy podczas Danielkowego Zlotu Gwiaździstego dolały oliwy do ognia. Zapadła decyzja. Wybrałem termin. Pozostało dotrzymać słowa.

Zdecydowałem zrobić nieco mniej wtajemniczonym psikusa i pierwszego kwietnia 2019 roku postawiłem pierwszy krok na moście łączącym brzegi Dunaju w Bratysławie. Doskonale pamiętam ten ciepły, słoneczny dzień, spieczone czoło – pamiątkę przesiadywania na tarasie Devińskiego zamku i nocleg pod Kamzikiem. Niemal w sercu europejskiej stolicy rozbiłem namiot i zjadłem pierwszą buraczaną pulpę.

Dni mijały szybko, pogoda się zmieniała. Jeszcze nim dotarłem do Polski, zdążyłem doświadczyć wiosennych śniegów i przymrozków. Nie da się ukryć, że pogoda zawsze miała asa w rękawie i niewzruszona wielokrotnie grała mi na nosie. Początkowy etap poszedł nawet lepiej, niż zakładałem, sił nie brakowało, mimo że nie byłem zbyt rozchodzony, a na brzuchu nosiłem prywatną spiżarnię. A skoro już przy jedzeniu jesteśmy, to nadszedł czas na urodziny i Święta, które tradycyjnie spędziliśmy w gronie znajomych na Zagroniu.

Kilka dni przerwy pełnych pozytywnych emocji dało mi energię do dalszego marszu przez Beskidy. Tempo niestety zaczęło spadać, zalegające śniegi, powalone drzewa i kapryśne chmury zrobiły swoje. Ale gdyby nie one, pewnie nie doszłoby do kilku kompletnie nieplanowanych spotkań na trasie. Kiedy zająłem swoje miejsce w pierwszomajowym pochodzie na szczyt Trzech Koron, a po chwili usłyszałem znajomy ślónski głos witający mnie z góry, musiałem solidnie złapać się barierki. Ostatni raz widzieliśmy się, popijając wino na dzień przed startem… Potem były Bieszczady i nieoceniona pomoc Wojtka z Balnicy, który przechował dla mnie depozyt z mapami i odrobiną prowiantu na dalszą część trasy, oraz słodkie pożegnanie z ojczystą ziemią. Najsłodsze z możliwych, bo taki właśnie jest bieszczadzki Gigant.

Zakarpacie przywitało mnie niezwykłą gościnnością. Gdziekolwiek się pojawiałem, zawsze mogłem liczyć na dokarmienie i napojenie, nie tylko wodą. A że moje zdolności językowe również się upłynniały, to niemal każde takie spotkanie zamieniało się w dłuższą biesiadę, czasem sprawiając, że musiałem zrewidować swoje plany noclegowe. Ukraina to również miejsce, gdzie zmagałem się z kontuzjami. Boleśnie puchnące śródstopie, będące pokłosiem niedoboru wapnia i nagłego „strzału" w trakcie podejścia. Krwawa szrama dzieląca stopę na dwie połówki po tym, jak przez pół dnia szedłem w solidnie przemoczonych butach. No i meszki… kąsające najmocniej nad ranem i wieczorem, akurat wtedy, gdy człowiek chce przez chwilę pobyć w samotności. Przez dwa tygodnie jeden problem zastępował kolejny… Choć przychodziło mi to z dużym trudem, rozważałem wówczas przerwanie przejścia. Na jednej szalce był ból, na drugiej już czterocyfrowy dystans. Wygrała miłość do gór.

Chwila relaksu w Marmaroszach.

Do Rumunii wkroczyłem dobrze znanym przejściem w Sygiecie, do dziś z uśmiechem wspominam minę celnika, któremu opowiadałem o swojej trasie. Kilka rutynowych pytań zamieniło się w długą pogawędkę. Zresztą, nie pierwszy i nie ostatni raz. W kolejnych dniach pogawędek było jednak znacznie mniej. Znajomość rumuńskiego na poziomie „Kali być" pozwalała osiągnąć cel w codziennych sytuacjach, ale nie dawała szansy na lepsze poznanie drugiego człowieka. Nie było innego wyjścia jak tylko ostra wieczorowa walka z Google translate. Na szczęście w górach, wśród prostych ludzi zawsze działa uniwersalny język – język uśmiechu i pomocnej dłoni. Pasterze wielokrotnie karmili mnie i przygarniali pod swój dach, gdy w obawie przed niedźwiedziami nie chciałem rozbijać namiotu w pojedynkę.

Karpacki zakręt.

Istotą przejścia są jednak góry, a rumuńskie Karpaty są według mnie najpiękniejsze. Czekałem na ten moment, na pierwsze kroki w Marmaroszach, które dotąd tylko oglądałem z sąsiednich pasm. Na powtórkę z grani Gór Rodniańskich i na góry Suhard. Poprzednim razem uciekałem w nich przed niedźwiedziami, teraz przed burzami. Obie wizyty miały jednak wspólny mianownik – opuszczoną staję, która dała mi schronienie akurat wtedy, kiedy najbardziej go potrzebowałem. Burze niestety towarzyszyły mi aż do zejścia z Fogaraszy, wielokrotnie zmuszając do przerw w marszu i rozbijania biwaku we wczesnych godzinach popołudniowych.

W Rumunii pojawił się kolejny problem, który szedł ze mną, a właściwie to ja z nim szedłem aż do końca. Moje buty zaczęły domagać się urlopu i coraz mocniej otwierać się na świat. Przez blisko półtora miesiąca z regularnością szwajcarskiego zegarka poświęcałem wieczory na zaklejanie coraz to większych dziur i wymyślanie kolejnych patentów na utrzymanie łączności między cholewką a podeszwą. Walka nie była lekka, ale wspierany rumuńskim butaprenem, takim solidnym – z toluenem, nie oddawałem pola. Po mojej stronie stanęły również kawałki troków, sznurki i żyłki znalezione gdzieś na szlaku. Wędrówka uczy improwizacji, a od tego, jak pojętnym jest się uczniem, może zależeć jej powodzenie.

Szacunkowo 80% populacji karpackich niedźwiedzi zamieszkuje terytorium Rumunii, zaś wśród nich największą popularnością cieszy się rejon Braszowa i okalające go góry. Mówi się, że człowiek

cd. str. 2

nie powinien chodzić w nich w pojedynkę. Wielokrotnie mówili mi to miejscowi, przytaczając historie o niedawnych spotkaniach z „misiami”. Wiedziałem o tym, wiedziałem też, że w tym rejonie leżą góry Vrancei porośnięte gęstymi lasami, niemal niezasiedlone przez ludzi. Wprost idealne miejsce dla króla naszych gór.

Czasem sama świadomość obecności wroga jest zdecydowanie gorsza niż spotkanie z nim, bowiem to my i nasza wyobraźnia tworzymy jego obraz. Tym straszniejszy, im dłużej na niego czekamy, bo tym dłużej możemy go dopracowywać. Moja głowa również intensywnie pracowała. Z każdą odciśniętą łapką, z każdym napotkanym gówienkiem jakby wszystkie te ślady kolekcjonowała i lepiła z nich mojego wyimaginowanego wroga. Tak długo, aż jego ciężar zaczął mnie przytłaczać i kierować wszystkie myśli w stronę czterech ścian. Dwa długie dni spędzone na osobności w refugiu pozwoliły mi uporać się z nimi. Jak się niebawem przekonałem, był to najwyższy czas.

Na Moldoveanu.

Góry Ciucas.

Orszowa – koniec wędrówki.

Leśna droga, niemal identyczna jak u nas. Wkoło niski las, coś trzaska w krzakach, pewnie kolejna łania… Po chwili dostrzegam kudłatą, brązową dupkę, myślę sobie: dzik, prawie jak w Katowicach. Ale nie, to nie Katowice, jesteśmy w Rumunii, a ta dupka ma ponad metr wysokości. Stanąłem jak wryty. Dostrzegł mnie dopiero, gdy ucichły moje kroki. Odwróciłem się, nim zdążyliśmy wymienić spojrzenia. Po kilku krokach zerkając za siebie, z ulgą dostrzegłem, jak odbiega w przeciwną stronę. Chwila ciszy. On usunął mi się z drogi, teraz to ja muszę zadbać o jego komfort. Zaczynam snuć monolog w jego stronę, powoli obchodząc miejsce, z którego jeszcze unosi się para. Niech wie, że go nie śledzę. Nie chcę, by w jego głowie zaczął tworzyć się wyimaginowany wróg, którego nie dostrzega w gęstym lesie.

Zdecydowanie częściej spotykałem psy pasterskie. Czasem były to małe kuleczki lgnące do nóg i domagające się zabawy, a czasem rozszczekana horda szczerząca kły. W większości sytuacji stosowanie kilku podstawowych zasad pozwalało utrzymać je na bezpieczny dystans. W pozostałych, z pomocą śpieszyli pasterze, przeprowadzając mnie na skraj pastwiska. Tu znów niezastąpiony okazywał się uśmiech – jedyna waluta, której nie dotyka inflacja.

Wracając jednak do gór. W Rumunii były trzy przełomowe momenty, które bardzo mocno odcisnęły się w mej pamięci. Pierwszym z nich i zarazem najdłużej wyczekiwanym było zobaczenie karpackiego zakrętu. Po raz pierwszy podczas przejścia widziałem przed sobą coś innego niż góry i o dziwo, sprawiło mi to radość. Następną barierą były Fogarasze, ubrane wraz z Piatrą Craiului w najdłuższy i najcięższy etap na trasie. Wiedziałem, że gdy je przejdę będzie już „z górki”, jednak najpierw trzeba było je przejść. Potężny front przez kilka dni zatrzymał się na głównej grani, zmuszając mnie do przeczekania w schronie na ponad 2200 m n.p.m. Huraganowy wiatr, ulewny deszcz i temperatura w okolicach zera. Jednak najgorszy był brak jedzenia. Dzienna racja na poziomie 150g mamałygi i dwóch ząbków czosnku. Czekolady były zarezerwowane na dni marszowe. Nie było lekko, na szczęście niebawem po raz kolejny na swej drodze spotkałem pomocną dłoń. Największą radość, wręcz euforię dał mi widok Dunaju. Po czterech i pół miesiącach ponownie ujrzałem jego lśniący błękit. Wiedziałem, że to już prawie koniec, że sukces jest na wyciągnięcie ręki. Szczęśliwszy byłem tylko w Orszowie, stojąc pod tabliczką wskazującą Łuk Karpat. Tych emocji nie da się przelać na papier, trzeba ich doświadczyć.

2600 km, 144 dni, czy było warto? Zdecydowanie tak! Dla każdego uśmiechu wymienionego na trasie, dla każdego uścisku dłoni i każdego dobrego słowa. Bo to one były esencją tego przejścia. Gdyby nie ludzie, których spotkałem na swej drodze, byłoby ono zdecydowanie uboższe, a możliwe że nie zakończyłoby się sukcesem. Wasze wsparcie było dla mnie bezcenne.

TO BYŁO

✔ 6.06.2019 Zmarł Jerzy Jasiczek (blacha nr 4), jeden z założycieli i członków honorowych SKPG „Harnasie”. Pogrzeb odbył się 10.06.2019 na cmentarzu ewangelickim w Cieszynie przy ulicy Bielskiej.

Jurek Jasiczek bywał na wszystkich leciach i był zwykle Harnasiem z najniższym numerem blachy. Od jego nazwiska pochodzi też środowiskowa nazwa „Jasiczkowe Turnie” nadana skałkom w okolicy chatki na Pietraszonce.

✔ 6–7.07 odbył się Rajd Letni z metą w bazie namiotowej na Przysłopie Potóckim. Tematyką rajdu były „teorie spiskowe”.

✔ 14–25.08 V Danielkowy Zlot Gwiaździsty z Gorcstoku na Danielkę.

✔ 20.08 knajpowe zebranie wakacyjne w Rebel Garden Cafe w Parku Śląskim.

✔ 26.09 zebranie wyjazdowe w Muzeum Miejskim w Żorach na wystawie „Polskie poznawanie świata”.

TO BĘDZIE

✻ 5–6.10 tegoroczny ERG odbędzie się na Pogórzu Ciężkowickim. Meta: Bacówka Brzanka.

✻ 08.10 zebranie w Skansenie Kolejowym w Pyskowicach.

✻ 10.10 – PaskudoFonia oraz Namaste w ramach cyklu Muzyczne Namaste zapraszają na koncert duetu Czarny Nosal, który odbędzie się o godzinie 19.00.

✻ 12–13.10 rajd „Złota jesień z Harnasiem” z metą w Szkolnym Schronisku Młodzieżowym w Pokrzywnej w Górach Opawskich. Tematem przewodnim będzie Dziki Zachód.

✻ 12 lub 13.10 (w zależności od pogody) – Zakończenie Kołowego Sezonu Rowerowego, na które zapraszamy nie tylko Mamuty, ale wszystkich rowerowych Harnasi i przyległości.

✻ 21.10 – spotkanie z cyklu Harnasie w Namaste. O Bieszczadach Wschodnich i Gorganach opowie Jacek Przyłucki. Spotkamy się pół godziny przed pokazem, czyli o 18.30.

✻ 20.10 godz. 19 – PaskudoFonia zaprasza na koncert gliwickiego zespołu folkowo-żeglarskiego „Sąsiedzi”, który odbędzie się w Pubie Oficyna w Zabrzu, ul. Wolności 211.

Po więcej opowieści zaproszę Was niebawem na slajdowiska, zaś więcej zdjęć wraz z zapiskami z trasy już teraz można obejrzeć na moim profilu:

https://www.facebook.com/Poyerbany-Włóczykij-2075988805783186/

Michał Kulanek